



ZIMOWŁA

Dominika
Słowik

znak

Z I M O W Ł A

Dominika
Słowik

Wydawnictwo Znak
Kraków 2019

Babci Mariannie Czesławie i Babci Stefanii

A może wszystko zaczęło się, kiedy przecięli mnie na pół?

Pamiętam, że mogłam poruszyć tylko głową, obok leżała Magda, której nie znałam, ale o której słyszałam od babki Sareckiej (już wtedy zapisała mi babiznę). Nad sobą widziałam lamperie sali gimnastycznej, brudny sufit, bibułowe kotyliony, litery wycięte ze styropianu. Gdzieś z tyłu parawan obciążony granatowym materiałem z naszytymi foliowymi gwiazdkami przypominającymi żółte plamy. Tablice wuefisty Baniowskiego z instrukcjami ćwiczeń wypełnione postaciami zatrzymanymi w mechanicznym ruchu. Mężczyzna, który nas przecinał, dyszał ciężko, jakby to była bardzo wyczerpująca praca, miał cuchnący oddech. Dotknął mojej głowy, zanim zabrał się do cięcia. W dłoni ścisnął zębatą piłę. Na widowni siedział ojciec, specjalnie wziął w pracy wolne, i klaskał z zachwytem. Próbowałam patrzeć w dół, chciałam zobaczyć, co piła robi z moim ciałem, ale widok zasłaniał mi brzeg drewnianej skrzynki, z której wystawała tylko moja głowa. Reszty jakby zupełnie nie było.

Gdy mężczyzna skończył, wziął do ręki kartkę – zwykłą kartkę papieru – i wsunął w szczelinę, w ślad po przecięciu, a papier, czułam to wyraźnie, przeleciał przeze mnie na wylot, upadł na ziemię i prześlizgnął się po parkiecie aż pod stopy widzów.

Już po wszystkim dowiedziałam się, że wybrano nas ze względu na buty: miałyśmy z Magdą takie same zielone tenisówki, co z jakichś powodów było ważne dla sztuczki, którą pokazywał w naszej szkole obwoźny magik, zarabiający na chałturach w prowincjonalnych podstawówkach.

Mój ojciec, kiedy dzień wcześniej usłyszał, że potrzebuję pieniędzy na bilet wstępu, wpadł w osobliwe podniecenie. Wtedy wciąż jeszcze z nadzieją

szukał okazji do doświadczenia jakiegokolwiek „prawdziwego cudu”.

Nie zdziwiłam się, gdy następnego dnia zobaczyłam go przepychającego się pomiędzy kilkulatkami. Wyraźnie podekscytowany usadowił się na zbyt niskiej ławeczce. Kolana sterczały mu aż pod brodę. W pracy skłamał, że się rozchorowała i musi mnie zabrać do lekarza.

Magik miał na sobie frak z błyszczącego materiału, a na głowie przekrzywiony cylinder. Kiedy zapowiedział najważniejszy punkt programu – przecięcie na pół człowieka – i poprosił o „chętnych ochotników”, niemal wszystkie ręce wystrzeliły w górę. Dzisiaj nie pamiętam już, czy i ja się zgłosiłam, wydaje mi się, że nie, bo patrzyłam zawstydzona na ojca, który także machał dłonią, i to z jakimś szczególnym zacięciem na twarzy, jakby naprawdę bardzo mu zależało, żeby magik wybrał właśnie jego.

Któraś nauczycielka wypchnęła do przodu niecierpliwego ucznia, ale magik pokręcił głową i zawołał:

– Proszę państwa, drodzy widzowie, tym razem na scenę zapraszam dziewczynki! Dwie dzielne dziewczynki!

Przyjęto to ze zrozumieniem, bo w tamtym czasie w telewizji puszczano pokazy Copperfielda i rzeczywiście na pół zawsze przecinało się kobiety. Magik rozglądał się w skupieniu, jakby czegoś albo kogoś szukając, a potem, zanim się zorientowałam, o co chodzi, złapał mnie za rękę i wyciągnął na środek sali.

Lubię myśleć, że zaczęło się właśnie od tego przecięcia.

Długo obserwowałam Magdę na szkolnym korytarzu, ale ona zdawała się tego w ogóle nie zauważać. Najbardziej fascynowały mnie chyba cienkie bawełniane rękawiczki, których nigdy nie zdejmowała.

Dygnarówna chodziła do innej klasy. Pewnie wcale mnie nie pamiętała.

Przecież kiedy ją przecinano, nawet nie patrzyła w moją stronę.

A jednak gdy spotkałyśmy się kilka miesięcy później w kolejce do gabinetu naszej higienistki, przyglądała mi się tak uważnie, że aż się zarumieniłam.

– Krew ci się leje z nosa.

Odruchowo dotknęłam twarzy. Czerwień na palcach. Odchyliłam głowę do tyłu.

– To nic, zaraz przejdzie. Mam na to jabłko.

– Jabłko?

– Tak, ojciec mi daje takie specjalne na anemię – wymamrotałam zawstydzona. Sięgnęłam do kieszeni plecaka i wyjęłam podziurawione, szerniałe jabłko. – Gdzieś przeczytał, że to najlepsze na uzupełnienie żelaza. Wbija do jabłka dużo gwoździ i zostawia na noc. Rano je wyjmuje. Żelazo z gwoździ przechodzi do jabłka.

– Brzmi strasznie głupio.

Pokiwałam głową.

Zdziwiłam się, że Magda stoi tutaj z nami. Czekaliśmy na bilans dziesięciolatka, a ona była przecież o klasę wyżej. Dopiero później się dowiedziałam, że Dygnarówna poszła do szkoły ze starszym rocznikiem.

Do gabinetu wchodziło się dwójkami.

W środku czekała na nas ubrana w biały kitel higienistka. Na biurku leżał stos formularzy, w których musiała wpisać nasz wzrost, wagę, ostrość wzroku, skrzywienia kręgosłupa, zaznaczyć, czy mamy płaskostopie, wyliczyć przebyte szczepienia.

Obok biurka stała przeszklona szafka z ciemnymi buteleczkami. Waga lekarska. Parawan. Leżanka obita brązowym skajem i nakryta zmiętym prześcieradłem.

– No już, dziewczynki, rozbieramy się! Ściągajcie wszystko, zostawiamy tylko majtusię! – Wskazała na parawan.

Ruszyłam za Magdą i nagle znów poczułam się zupełnie jak wtedy, kilka miesięcy wcześniej, gdy znalazłyśmy się obie za niemal identycznym parawanem, a magik hochsztapler wsadzał nas do dwóch drewnianych skrzynek. Pod ścianą, ukryte przed oczami widzów, leżały porzucone bez ładu kable, przedłużacze, już niepotrzebne, wybebeszone magiczne szkatułki z otwartymi zapadkami, różdżki z wystrzelonymi serpentynami, sztuczne gołębie, wywrócone na lewo surduty i kamizelki pełne ukrytych kieszeni. Gapiłam się na to, co jeszcze przed chwilą z końca sali gimnastycznej wydawało się pełne niezwykłości, a teraz zamieniło się w kilka zniszczonych, tanich rekwizytów. Sam magik oglądany z bliska okazał się zupełnie innym człowiekiem. Błyszczący frak śmierdział zastarzałym potem. Mężczyzna wyglądał na zmęczonego i zirytowanego. Na nosie miał pełno drobnych czarnych wągrów, jakby ktoś ponakłuwał mu skórę igłą.

– No, dalej, kochanie, nie ma czasu. – Popchnął mnie w stronę skrzynki.

– No, dalej, kochanie, nie ma czasu – zaświergotała higienistka.

Zaczęłam zdejmować golf, oczywiście utknęła mi w nim głowa, nie mogłam sobie poradzić, szarpałam mocno, ale tylko coraz bardziej się zaplątywałam i miałam wrażenie, że zaraz się uduszę, czy można udusić się własnym swetrem? Bałam się, że znowu puści mi się krew z nosa. Nagle poczułam czyjeś dłonie, ktoś delikatnie, ale stanowczo rozplątywał rękawy, ciągnął za golf, aż sweter zsunął się z mojej głowy, a ja, cała czerwona, wciągnęłam haustem powietrze.

– Dzięki – mruknęłam do Magdy, która uśmiechnęła się bez słowa.

Zdjęła już dzinsy i T-shirt, stała przede mną w błękitnych majtkach w drobną łączkę i w swoich jasnych rękawiczkach. Nie zakrywała się, czekała wyprostowana, aż higienistka ją zawoła. Piersi Magdy lekko już

sterczały, zupełnie jak moje; zaczęło się to zresztą całkiem niedawno. Jakby coś złożyło pod naszą skórą jajeczka, które teraz rosły, i jeśli – pomimo bólu – się tam dotykałam, wyczuwałam w środku twardą pestkę zanurzoną w bardzo cienkim miąższu. Przestałam wtedy chodzić w białych koszulkach, bo przez te bardziej obcisłe prześwitywały ciemne krążki sutków.

Kiedy Dygnarówna ruszyła w stronę wagi, na której skali higienistka przesuwiała tulejowate ciężarki niczym w jakimś specjalnym liczydło do ważenia mięsnych tusz, spojrzałam uważnie na plecy Magdy – już wtedy z obsuniętą łopatką, która sterczała jak ostry nożyk – i na jej niezarysowaną talię. Szukałam, zrozumiałam nagle ze wstydem, blizny po przecięciu. Chciałam się upewnić, że naprawdę nie ma tam żadnego śladu, żadnej kreski, nawet zadrapania; że skóra, ciało, cała Magda pozostały nietknięte.

Poczułam nagle, że moje majtki robią się mokre, jakbym się zesikała. Przerazona, wciąż chowając się za parawanem, dotknęłam ręką materiału, przez który powoli przesiąkała wilgoć.

Do gabinetu higienistki zaczęłam wracać częściej, odkąd dostałam wreszcie pierwszą miesiączkę: niedługo po wyprawie z ojcem pod czakram, a krótko przed atakiem na World Trade Center. Pamiętam, że wszystkie wyczekiwałyśmy okresu z niecierpliwością i kiedy tylko któraś z nas wreszcie zaczynała menstruować, zaraz się tym chwaliła: owinięte w ciemnozieloną folię kwadraciki pod pasek przypadkiem wypadały z plecaka, z etui legitymacji szkolnej sterczał niby przez nieuwagę zostawiony na wierzchu kalendarzyk miesięczkowy z zaznaczonymi kolorowym pisakiem datami, a na wuefie natychmiast zgłaszano „niedysponowanie”, i to tak głośno, żebyśmy wszystkie usłyszały.

Ja też najpierw się ucieszyłam, kiedy w łazience zobaczyłam na majtkach brązową plamę, ale bardzo szybko przeraził mnie spazm bólu, który od

tamtej pory co miesiąc obejmował moje ciało. Kiedyś w szkole bolało tak bardzo, że nie mogłam się ruszyć, czułam się, jakby ktoś odebrał mi w tym ciele władzę i pozostał tylko ciężki, ciągnący do ziemi ból; od pępka w dół nic innego nie miałam. Najbardziej zdziwiło mnie, że bolał nie tylko brzuch, ale plecy, odbyt, krocze – jak gdyby wcześniej ktoś długo i mocno w nie kopał. Przez chwilę wydawało mi się, że to tamten papier ze sztuczki magika wciąż rośnie w moim brzuchu i rozcina go ostrymi brzegami.

Nauczycielka wysłała mnie na dół. Koleżanka pomogła mi zejść, bo nie byłam w stanie sama iść po schodach. Higienistce ostatnio zabrano godziny i w szkole pojawiała się tylko w niektóre dni; na szczęście akurat siedziała w gabinecie. Położyła mnie na kozetce, wyjęła z przeszklonej szafki butelkę i nalała żółtego, błotnistego płynu do dużego kieliszka.

Ziółka były bardzo mocne, na spirytusie.

– Dalej boli?

Kiwnęłam głową.

– To jeszcze jeden.

Wypiłam drugi kieliszek. Gorąco rozlewało się po żołądku. Wydawało mi się, że ból naprawdę trochę zelżał.

– No, co ty teraz masz?

– Polski.

– A z kim?

– Z Jaskułą. Z dyrektorką.

Higienistka skrzywiła się na dźwięk tego nazwiska. Czułam, jak ciepło ogarnia moją głowę. Zachichotałam.

– Poleż tu sobie do dzwonnka, jeśli masz ochotę. – Kobieta uśmiechnęła się do mnie i zaczęła wypełniać jakieś papiery, które leżały w równym stosiku na jej biurku.

Od tej pory wracałam do higienistki niemal co miesiąc. Mijałam się czasem z innymi dziewczynami w drzwiach gabinetu. Jakiś spokój emanował z tej uśmiechniętej, nieco porywczej kobiety, ale przede wszystkim z jej wspaniałego eliksiru, nalewki, lekarstwa na dziewczęce bóle.

Magdy nigdy więcej tam nie spotkałam.

Część I

ANTROPOCEN

ROZDZIAŁ 1

Tuż przed Nowym Rokiem w naszym mieście nocami zaczęły się pojawiać na śniegu tajemnicze ślady.

Nie mówiliśmy o tym głośno, ale tropy odnajdywano niemal co rano, w coraz to innych częściach miasta. Urywały się dziwnie i znienacka, aż wydawało nam się, że ten, kto je zostawiał, nagle wzlatywał w górę albo po prostu... znikał. Prowadziły znikąd donikąd.

Nie byłoby w tym może nic nadzwyczajnego (w końcu tamtej zimy niemal codziennie nad ranem śnieg przysypywał całą Cukrówkę), gdyby nie to, że w śladach mieszały się odciski ludzkie i zwierzęce. Zupełnie jakby ktoś wyprowadzał na spacer wielkiego psa – tyle tylko, że stopy, które zostawiały znaki na śniegu, były bose.

Wraz z upływem zimy odnajdywaliśmy ślady coraz częściej, coraz gęstsze, w coraz bardziej niepokojących miejscach. Przestraszeni odkrywaliśmy je zawsze wczesnym rankiem – wiodły przez chodniki i ogrody, przebiegały wyraźnym czarnym ściegiem przez zamknięte na klucz furki i bramy, oplatały solidne ogrodzenia, grube mury i rozchwiane stare płoty, wreszcie – co przerażało cukrowian najbardziej – urywały się tuż pod oknami sypialni, czasem na progu drzwi. Tak jakby coś podglądało nas nocą, gdy spaliśmy. Okrężało nasze domy.

Próbowano wejść do środka.

Sprawy nie dało się już dłużej ignorować, kiedy obok śladów bosych stóp i zwierzęcych łap zaczęło się pojawiać coś jeszcze – wżarte w śnieg drobne,

ale wyraźne ciemnoczerwone plamki: skrzepnięta krew.

Owszem, staraliśmy się walczyć z rosnącym w nas irracjonalnym strachem. Mówiło się wtedy coraz częściej, że to wilki przyszły ze Słowacji. (Ale przecież zima była tamtego roku łagodna, skąd więc niby wilki? Ostatni raz widziano je w 1978 roku, w czasie zimy stulecia, a i to wcale nie na pewno). Może nawet jakiś niedźwiedź rozbudzony zbyt wysoką temperaturą zabłąkał się w Puszczy Franciszka? Wygłodniałe lisy? Zdziczałe psy?

Mimo tych uspokajających wyjaśnień mało kto w tamtym czasie chodził nocami samotnie po ulicach Cukrówki. I chociaż miasta takie jak nasze mają to do siebie, że wieczorami zwykle zupełnie pustoszeją, pamiętam przecież doskonale: u początków 2005 roku w domach po zmroku trzymało nas coś więcej niż zwykła nocna pustka prowincji.

Nikt nie wypowiadał tych słów na głos, a jednak wszyscy wiedzieliśmy: w Cukrówce grasował wilkołak.

*

Misza oblizał palce i ostrożnie podał mi dopiero co otwartą butelkę musującego wina.

Jak co sobotę mieliśmy grać w króla wzgórza, ale Hans się spóźnił. Siedzieliśmy z Miszą na najwyższym okolicznym wzniesieniu. U naszych stóp leżała cała Cukrówka, miasto trzech zmornickich cudów. Widzieliśmy stąd nasze domy – willę Sareckiej i Szklany Dom, szarą bryłę urzędu miejskiego, krzywą dzwonnice kościoła pod wezwaniem Matki Bożej Szkaplerznej. Po wschodniej stronie wzgórza znajdował się cmentarz, a na zachodzie rozciągał się las, Puszcza, która ściśle okalała Dolinę aż do wysokości dawnego Zakładu. W zaroślach za naszymi plecami połyskiwało zakole Zmornicy. Na wschodzie, już za miastem, biegła prosta linia drogi krajowej Kraków – Wadowice – Wysoka i dalej; tej samej drogi, którą

niedługo, o czym wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, miał na zawsze uciec Misza – w dniu kiedy mój ojciec zniknął w szafce na buty, a ja w końcu znalazłam skarb Inków.

Pociągnęłam duży łyk i natychmiast się zakrztusiłam.

– Gdzie on jest? – Misza zaczynał się powoli niecierpliwić. Grzebał nerwowo końcem zapalniczki w rozmięklej ziemi. Trawa na wzgórzu dopiero zaczynała się zielenić.

– Zadzwoń do niego.

– Na karcie mam mało. Pewnie mu nie chcą sprzedać... – Westchnął. – Mogłem sam iść.

Jako jedyny z naszej trójki miał skończone osiemnaście lat.

Wzruszyłam ramionami, ukradkiem powstrzymując ziewnięcie. Misza udął, że niczego nie widzi. Od dwóch tygodni prawie nie spałam.

Nikomui nie powiedzieliśmy o tym, co się wydarzyło w nocy na początku kwietnia.

Powinniśmy jednak wreszcie kogoś powiadomić, pomyślałam zawstydzona. Tak byłoby dla wszystkich bezpieczniej. Zabębniłam palcami w ciemnozielone szkło butelki.

W tym samym momencie telefon głośno zawibrował. Misza jednym ruchem nadgarstka otworzył klapkę i bez słowa pokazał mi ekran z wiadomością: „DZIAŁKI. SZYBKO”. Pokręciłam bezradnie głową.

Wyglądało na to, że nasz przyjaciel Hans zupełnie oszalał.

Cukrowskie działki znajdowały się na północnym zachodzie, niedaleko Puszczy; stanowiły szczególną gęstwinę rzeczywistości, jakby były barykadą wzniesioną pomiędzy miastem a napierającym na nie lasem.

Poprzecinane płataniną płotów, ogrodzeń, dróg, drózek i ścieżek, pozastawiane altanami, daczami, prowizorycznymi grillami, szopami,

szałasami, namiotami szklarni, zarośnięte niezmierną ilością rabat, grządek, klombów, drzew i drzewek działki wydawały się pozbawione jakiegokolwiek przestrzennej logiki. Nawet wędrując od lat tą samą ścieżką, wciąż można się tu było łatwo zgubić i bezradnie szukać drogi wyjścia, zwłaszcza po zmroku (ale teraz oczywiście nikt w mieście nie odważyłby się chodzić tamtędy nocą).

Ojciec Hansa kupił swoją działkę zaraz po powrocie do kraju, skuszony wyjątkowo okazijną ceną. Szybko okazało się jednak, że niska cena miała swoją przyczynę – sąsiedztwo Pszczelarza i jego uli uprzykrzało życie na tyle, że pan Dariusz bardzo szybko zrezygnował z urządzania tam zakrapianych grillów dla kolegów i kilka tygodni później zupełnie zapomniał, że w ogóle posiada w Cukrówce jakieś grunty.

Zanim Misza wymyślił grę w króla wzgórze, spędzaliśmy więc na Hansowej działce prawie każdy weekend. Pszczelarza widywaliśmy bardzo rzadko. Parę razy zrobił nam awanturę o to, że dym usypia mu pszczoły, ale większość dnia spędzał zamknięty w swoim rozpadającym się domku ze szczelnie zasłoniętymi oknami. Właściwie aż do wydarzeń z początku wiosny nie zwracaliśmy na niego uwagi.

– Ciszej!!! – z krzaków rozległ się zirytowany szept Hansa.

Ostrożnie zamknęłam za sobą skrzypiącą furtkę. Działka była niewielka, obsadzona wzdłuż granic posesji przerzedzonym, zaniedbanym żywopłotem. W rogu stała drewniana altanka, przed nią brudne krzesła i popękany stół z niegdyś białego plastiku. Po trawie walały się stare puszki i rozmokłe worki z resztkami węgla drzewnego.

– Kupiłeś? – Misza z trudem wczołgał się w żywopłot. Był znacznie wyższy od Hansa, musiał się mocno skulić, żeby zmieścić się w dziurze pod płotem.

– Co? – Hans nawet na nas nie spojrzał. Cały czas przyciskał twarz do szpary w bardzo wysokim, ale dość niestarannie wykonanym płocie. Jego ojciec naiwnie liczył, że ogrodzenie uchroni go od smrodu zawiewanego, jak twierdził, znad posesji Pszczelarza, powstrzyma zagubione pszczoły, które wpadały do słodkich drinków i irytowały oganiających się nerwowo gości.

– No, Igristoje, kupiłeś?

Hans niedbale machnął ręką. Na trawniku leżała porzucona reklamówka z dwiema butelkami i paczką fajek. Podniosłam ją i wcisnęłam się w krzaki obok chłopaków. Misza wyjął z kieszeni zawiniątko w folii i z wprawą zaczął kruszyć palcami trawę do bibułki.

– Dobra, od Słowaczki. Nie ta, co ostatnio – wymamrotał uspokajająco, kiedy zauważył moje niepewne spojrzenie.

Przez chwilę słychać było tylko szelest rozcieranego suszu. Często brałam dla siebie trochę towaru od Miszy, sprzedawał mi nieco taniej niż innym. Czasami lubiłam próbować tych dziwniejszych rzeczy, przede wszystkim jednak paliłam trawę. Hans kupował rzadko, na ogół brał tylko to, czym częstował nas Misza – głównie dlatego, że prawie nigdy nie miał pieniędzy, a młody Masztalerz nawet po znajomości nie chciał dawać na kreskę.

– I...? – nie wytrzymałam.

Hans chyba wyczuł w moim głosie zniecierpliwienie, bo nareszcie się do nas odwrócił.

– Znowu go widziałem.

Żałowałam, że parę tygodni wcześniej opowiedziałam mu o dziwnych odwiedzinach w muzeum u mojej matki. Przez to zaczął przesiadywać na działce.

– Miał ze sobą łopatę i plecak. Dokładnie jak, no wiecie... wtedy. Wszedł na chwilę do sklepu, ale najpierw wszystko schował w krzakach, pewnie

żeby ci z Zakładu nie widzieli. Przy stoliku siedziało już chyba ze czterech... – Hans urwał, spoglądając niepewnie na Miszę. Jego ojciec też był przecież przed laty w Zakładzie. Ale Misza pisał coś na telefonie i wydawało się, że w ogóle nie słucha tego, co mówi Hans. – Poszedł do Puszczy.

– Czemu nie poszedłeś za nim?

Hans wyraźnie się zmieszał. Wziął ode mnie na wpół spalonego skręta i zaciągnął się powoli. Nie, nie bał się Pszczelarza. Ale jednak wolał nie przebywać z nim sam na sam.

– Zauważyłby mnie. – Wzruszył ramionami. – Zajrzałem za to do jego plecaka.

– No i?

Hans pociągnął następnego bucha. Nagle cały poczerwieniał i zaniósł się gwałtownym kaszlem. Sięgnął szybko po otwartą butelkę. Wypił długi łyk, aż szampan pociekł mu po brodzie na koszulkę.

– Był pusty – wychrypiał wreszcie niechętnie, udając, że nie widzi mojego zirytowanego spojrzenia. – Ale pewnie stary dopiero po coś szedł.

Wytarł dłonią usta, a potem podał mi skręta i znów przycisnął twarz do szczeliny w płocie.

Hans uważał, że w naszym mieście coś ukryto. A stary Makowski wie co.

Dwa tygodnie wcześniej, na początku kwietnia, widzieliśmy nocą Pszczelarza ze szczytu wzgórza. Z plecakiem i ubłoconą łopataą szedł drogą od strony Puszczy. Nie zauważył nas. Oglądał się co jakiś czas za siebie, jakby bał się, że ktoś za nim idzie. I rzeczywiście, przez chwilę mieliśmy wrażenie, że na zakręcie, obok Maryi Stanowojeńskiej, mignęła jakaś sylwetka w ciemnym płaszczu, ale złudzenie natychmiast rozwiało się w załamaniach cienia rzucanego przez figurę oświetloną słabym światłem latarni. Stary był

przecież dziwakiem, stetryczalym wariatem. Spaleni za mocną trawą, patrzyliśmy bez większego zainteresowania, jak Makowski skręca w stronę działek i znika w mroku.

Wydawało mi się, że wiedziałam, dlaczego Hans uchwycił się tej historii o Pszczelarzu. Dzięki temu mógł udawać, że zwyczajnie nie pamięta o tym, co wydarzyło się potem.

A przecież jeśli się o czymś nie pamięta, to prawie tak, jakby nigdy tego nie było.

*

Pszczelarz był starszym mężczyzną w bliżej nieokreślonym wieku. Jeśli kazano by mi zgadywać, powiedziałabym, że wtedy, w 2005 roku, miał około siedemdziesięciu pięciu lat, a przynajmniej na tyle wyglądał.

Raczej średniego wzrostu, o dość przysadzistej sylwetce, w młodości musiał być barczysty i dobrze zbudowany; teraz została mu z tego tylko starcza otyłość. Nosił okulary w charakterystycznych oprawkach z półkoliście wygiętym podwójnym mostkiem przywodzącym na myśl połyskujące ostrza. Pod lekko zasiniałymi ustami sterczała przerzedzona broda, w którą czasem zaplątywały się kawałki jedzenia. Na brudnych włosach tkwił kaszkiet. Te włosy, zawsze trochę za długie i nierówno przycięte, miały brzydki kolor matowej siwizny: tłuste, zbijały się w strąki, przyklejały do czoła i Makowski wyglądał przez to, jakby się ciągle pocił. Roztaczał zresztą wokół siebie osobliwy, nieprzyjemny zapach – Hans twierdził, że „śmierdział starym dziadem”. Z jego posesji unosił się kwaśny odór niemytego ciała, stęchlizny i czegoś przypominającego wilgotną ziemię. Kiedyś, gdy jak zwykle przyniósł miód na sprzedaż Wosiowej, sklepikarka chciała mu dyskretnie podarować dezodorant, ale odmówił nieuprzejmie, tłumacząc, że „wszystkie takie zapachy drażnią pszczoły”, i może właśnie

w tym tkwiło rozwiązanie całej zagadki.

Na co dzień Makowski chodził w szarym, poplamionym frotowym szlafroku, który traktował jak płaszcz – narzucał go zazwyczaj na flanelową koszulę, czasem na dziurawy sweter. Spod szlafroka sterczał mu spory brzuch – na tyle obfity, że koszula ledwo się dopinała, a pomiędzy guzikami ukazywała się czasem blada skóra o serowatym odcieniu, pokryta czarnymi kręconymi włosami. Ilekroć go widzieliśmy, nosił zawsze te same brudne ubrania i tylko zimą wkładał na to wszystko puchową, sięgającą do pasa kurtkę, spod której szlafrok wystawał jak sukienka.

Najdziwniejsze były jednak buty. Makowski miał na stopach szare przetarte skarpety i klapki – zwykłe wsuwane kaptcie z filcu, w których chodził przez okrągły rok. Podobno nogi mu bardzo puchły i tylko w takich butach potrafił wytrzymać, tak przynajmniej skarżył się Wosiowej. Kiedy mocniej padało, zakładał na pantofle reklamówki, które wiązał pieczołowicie wokół kostek.

Pszczelarz rzadko kiedy opuszczał swoją posesję, ale jeśli już to robił, chodził zawsze bardzo szybko, niemal biegł ociążonym truchtem, tak że paski szlafroka furgotały za nim niczym krowi ogon, a kaptcie klapały o pięty; jak na swój wiek, miał chyba całkiem niezłą kondycję. W trakcie tych wypraw podpierał się kijem (nigdy się z nim nie rozstawał), który przy każdym kroku wbijał z impetem w chodnik, i człowiek miał wrażenie, że Makowski zaraz wykrzesze z naszej cukrowskiej ziemi prawdziwe iskry.

*

Siedzieliśmy już długo na lekko wilgotnej trawie. Wciąż jeszcze było chłodno, ciągnęło od gruntu. Nogi zaczynały mi drętwieć, ale ciepło ruskiego szampana powoli rozchodziło się po moim ciele. Mimo późnego popołudnia słońce grzało mocno, przedzierając się przez poszarpany i zapuszczony

żywopłot pokryty świeżymi zawiązkami liści. Zaplątała się pomiędzy nami jakaś pszczoła, rozespana i powolna, skuszona słodkim zapachem wina. Krążyła ciężko przy naszych twarzach, jak płomyczek co rusz podnoszonej przez nas do ust zapalniczki, od której odpalaliśmy skręty Miszy i własne papierosy. Im dłużej siedzieliśmy bez słowa (Hans uciszał nas, kiedy usiłowaliśmy rozmawiać), tym głośniejszy stawał się szum dobiegający z kilkunastu uli rozrzuconych bezładnie na sąsiedniej działce. Zdziwiłam się. Byłam tu wiele razy, ale nigdy nie zwróciłam na to uwagi. Dźwięk narastał, na początku przypominał ciche szemranie, ledwo słyszalny szmer, ale teraz wypełniał moją głowę, czułam, jak wraz z wciąganiem w płuca dymem całe moje ciało rozżarza się na chwilę tym niepokojąco znajomym pomrukiem, wielkim rojem, i nagle się roześmiałam, bo przypomniało mi się, zupełnie bez sensu, że nie powinniśmy siedzieć na trawie: nie było jeszcze pierwszej wiosennej burzy. Ojciec zawsze powtarzał, że siadać można, dopiero gdy pierwszy piorun wyciągnie z ziemi całe zgromadzone w niej przez zimę zło.

Coraz bardziej senna, zauważyłam zagubioną pszczołę, która spacerowała wzdłuż brudnego kciuka Miszy. Owad wpełzł na butelkę, a teraz piął się po ciemnozielonej szyjce, aż wreszcie zachybotał się na jej krawędzi i wpadł do środka. Zaskoczona widziałam, jak pszczoła zanurza się w resztkę słodkiego płynu i tonie, gramoli się powoli, niemrawo, ospale, jakby zupełnie jej nie obchodziło, że zaraz straci życie. Patrzyłam na nią, nie mogłam oderwać wzroku, o czymś mi przypominała, budziła we mnie niejasne przeczucie, że pszczoła zawieszona w ruskim szampanie jak w kawałeczku bursztynu: uporczywe przekonanie, że powinnam o czymś pamiętać...

Chyba zasnęłam, bo poderwało mnie głośne przekleństwo. Misza zauważył utopioną pszczołę. Zmartwiony potrząsał gwałtownie butelką, jakby miało to pomóc jemu albo owadowi.

– Cicho...! – dobiegł nas nagle nerwowy szept Hansa. Misza

znieruchomiał z uniesioną w górę ręką. – IDZIE!

Przez szpary w płocie dostrzegliśmy Pszczelarza, który powoli odwijął kłębek drutu służący za zamek odrapanej furtki. Spoglądałam na niego z niepokojem. Mimo upływu lat nie zapomniałam przecież, co zrobił Zojce. Stary Makowski wszedł na podwórko, ale zamiast jak zwykle skierować się prosto do domu, z wysiłkiem zrzucił na trawę plecak i ściskając w dłoni łopatę, podszedł w pośpiechu do drzewa rosnącego w kącie zagraconego ogrodu. Pomiedzy nogami plątały mu się poły brudnego szlafroka.

– Co on robi? – Zdumiony Misza wpatrywał się w Makowskiego.

– Chyba... liczy kroki – odpowiedziałam niepewnie.

Mężczyzna ustawił się plecami do drzewa i mamrocząc pod nosem, odliczył uważnie kilkanaście kroków. Skręcił w lewo, przeszedł jeszcze kilka metrów i zatrzymał się. Zaczął kopać, odwrócony do nas plecami. Szło mu opornie, co chwilę odpoczywał, zdejmował z głowy brudny kaszkiet i przeciągał ręką po spoconych siwych włosach. Pomimo całkiem okazałej postury był w takim wieku, że wysiłek fizyczny z pewnością przychodził mu z trudem. Jego ciężkie sapanie słyszeliśmy aż po drugiej stronie płotu.

Trwało to wszystko może kilka minut. Nagle Pszczelarz odrzucił na bok łopatę, uklęknął i delikatnie rozgarnął ziemię dłońmi. Po chwili chwycił coś w zaciśniętą pięść i wsunął do kieszeni. Z wyraźnym mozołem wstał z kolan, otrzepał zabrudzone spodnie, podniósł porzucony plecak i ruszył w stronę swojej prowizorycznej daczy przerobionej na całoroczny dom. Drzwi zatrasnęły się za nim ze skrzypieniem.

– Widzieliście?! – Podekscytowany Hans odwrócił się w naszą stronę.

Ale zanim którekolwiek z nas zdążyło odpowiedzieć, Pszczelarz znów się pojawił – ścisnął teraz w rękach ogromny słój domowego miodu. Usiadł na frontowych schodkach, wielkimi, grubymi dłońmi ujął pokrywkę i z wysiłkiem odkręcił. Rozejrzał się uważnie wokół, jakby upewniając się, że

jest sam. Nie zauważył nas skulonych po drugiej stronie płotu. Sięgnął do kieszeni. Wstrzymaliśmy oddech.

Makowski trzymał w palcach duży klucz o rzeźbionej główce.

Oczyścił go z resztek ziemi rąbkiem brudnego szlafroka i zaczął uważnie oglądać pod światło: przysuwał blisko oczu, po czym oddalał na długość ramienia. Wydawało mi się, że przez dziurę w główce klucza spogląda wprost na słońce, bada refleksy odbijające się w złotawym metalu. Nagle o czymś sobie chyba przypomniał.

Pospieszenie ujął otwarty słoik miodu i jednym pewnym ruchem wrzucił klucz do środka.

Patrzyliśmy zafascynowani. Klucz opadał bardzo powoli, z trudem przebijał się przez gęstą, prawie zastygłą ciecz. Wyglądało to, jakby miód pożerał metal, klucz topił się, rozpuszczał, rozpływał... i w ogóle go nie było. Makowski potrząsnął słoikiem. Przez bardzo krótką chwilę miałam wrażenie, że miód złapał refleks obniżającego się ku zachodowi słońca i rozbłysnął, a Pszczelarz trzymał w dłoniach nie szkło, tylko kawałek lustra. Zamrugałam oczami. Światło zgasło. Stary szybko zakręcił pokrywkę. Cały czas ściskając słoik w dłoni, wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 2

Tak naprawdę wciąż nie mam pojęcia, kiedy zaczęła się ta historia.

Czy w roku cudu stanowojennego? W dniu, w którym Misza wymyślił wzgórze? A może wtedy gdy ojciec zaczął liczyć znaki? Kiedy zniknęła babka? Gdy przyśnił jej się bagnet? Kiedy ja zjadłam Biblię, a matka zamieniła się w syrenę...?

Czasem jestem niemal pewna, że wszystko zaczęło się drugiego kwietnia.

To wtedy zobaczyliśmy ubłoconego Pszczelarza wracającego z lasu (choć przecież wcale nie o niego chodziło).

Świętowaliśmy zbliżające się urodziny Miszy. Pamiętam, że tamtej nocy wiał halny – ten sam halny, który wprowadzał w stupor esbeckie dusze zakłęte w kurach i pozbawiał spokoju mojego wyczekującego końca świata ojca.

Zasiedzieliśmy się na wzgórzu i wracaliśmy do domów już po północy. Wszystko przez to, że motorynka się popsowała. Misza nie mógł pojechać jak zwykle pod słowacką granicę, więc przyniósł ze sobą jakąś dziwną trawę, którą załatwił od znajomego w Wysokiej. Musiała być w czymś moczona, oszukana na wadze, bo mocno nas otumaniała, a biedny Hans się porzygał. Dlatego wracaliśmy tak późno.

Wokół dudniło zupełnie nierzeczywiste wycie przetaczającej się przez Dolinę wichury. Kłęby powietrza dusiły nas, jakbyśmy się zgubili w niewidzialnej zaspie. Opustoszałe o tej porze ulice miasta pokryte były resztkami topiącego się śniegu, który spadł kilka dni wcześniej w nagłym nawrocie zimy. Co chwilę zapadaliśmy się w ciemność pomiędzy rzadko rozstawionymi przy drodze latarniami. Słabe żółte światło lamp wisało

w zamglonym powietrzu i miałam wrażenie, że wiatr przemocą wpycha mi całe tumany tej latarnianej poświaty w usta i w nos jak watę.

Szliśmy szybko, wiało coraz mocniej. Pod nogami pryskały lodowate kałuże. Wycie wiatru zamieniło się w głuchy łoskot i nagle przeraziłam się, że wichura mnie porwie, oderwie od ziemi, poniesie w górę, ponad miasto i wyrzuci daleko ponad Dolinę – poczułam się przez krótką chwilę jak w 1994 roku, kiedy ojciec zabrał mnie na wycieczkę pod okno Jaruzelskiego, a ja wznosiłam się nad chodnikiem uczepiona dłoni taty jak balonik.

Chociaż nie wierzyliśmy w głupie plotki krążące po mieście, to jednak czuliśmy się nieswojo, wracając samotnie przez opustoszałą Cukrówkę. Może naprawdę zadziałał kiepskiej jakości narkotyk, a może ten halny, który dał z niespotykaną siłą – dość, że niespokojnie rozglądaliśmy się na boki. Zauważyłam, że Hans co kilka metrów rzucał za siebie nerwowe spojrzenie. W pewnym momencie wszyscy troje, bez żadnej przyczyny, jeszcze przyspieszyliśmy kroku. Maszerowaliśmy tak szybko, jak tylko pozwalał nacierający wiatr. Misza szedł pierwszy, my z Hansem próbowaliśmy za nim nadążyć. „Przy halnym rodzą się wariaci” – mówiła babka, kiedy przed laty wychodziła przy takiej pogodzie na podwórko sprawdzić powrozy przywiązywane jesienią do szyj kur, które jak co roku chciały odlecieć z dzikimi ptakami na południe. Przecież babka zawsze miała rację. Zdałam sobie sprawę, że niemal biegnę. Z trudem przełknęłam ślinę. Zaschło mi w gardle. Powietrze wciąż wbijało się przemocą w usta, siekło w oczy.

A potem Misza, zupełnie bez ostrzeżenia, zatrzymał się.

– Co jest...? – zaczął zirytowany Hans, ale urwał w pół słowa, bo Misza, nagle przeraźliwie blady, podniósł rękę i wskazał drżącym palcem na ziemię.

Słyszeliśmy o nich, ale nigdy wcześniej ich nie widzieliśmy.

Ślady, wyraźne i ciemne, rysowały się na cienkiej warstwie bieli. Biegły

przez śnieg i błoto, zawijały się w pętle, ósemki, krążyły zakosami, kluczyły, tak że zupełnie nie dało się powiedzieć, czy to coś, co je zostawiło, już sobie stąd poszło, czy dopiero przyszło. Były dokładnie takie, jak nam opowiadano: odbite w śniegu wilcze, kudłate łapy i szczupłe długie stopy z rozcapierzonymi palcami. Biegły wzdłuż drogi, tak daleko, jak tylko mogłam dostrzec w tym przerywanym, rozmokłym świetle ulicznych lamp.

Wytężyłam wzrok.

Kilkadziesiąt metrów przed nami, niczym zwieńczenie zapętlonych sekwencji tropów, majaczył w mroku ciemny kształt.

Długa sierść kudliła się od silnego wiatru. Skulony przy ziemi, wyglądał, jakby powoli skradał się w naszą stronę, obnażając zęby.

– O, kurwa – usłyszałam szept Miszy.

Hans rzucił się gwałtownie do tyłu, niemal mnie przewracając. Ledwo złapałam równowagę. Stwór znieruchomiał. Zauważył nas. A potem... zamerdał ogonem.

– Przecież to Kokos, idioci! – Roześmiałam się, z trudem skrywając ulgę. – Własnego psa nie poznajesz?

Kokos, potomek naszej suki Zojki, był średniej wielkości kundlem, ale miał bardzo grube łapy. Mogliśmy na to wpaść znacznie wcześniej. Pies Miszy włóczył się samotnie po całej okolicy, czasem znikał nawet na kilka dni. Ktoś niedoświadczony z łatwością wziąłby ślady jego łap za wilcze.

Próbowałam go zawołać. Nie zwracał na mnie uwagi. Kręcił się niespokojnie w załamaniu światła, co chwilę wchodząc w żółty krążek blasku. Zaczęłam szukać jakiegoś kija. Kokos uwielbiał patyki. Nachyliłam się, rozgarniając stopą zgniłe liście zalegające na poboczu.

Poczułam, że Hans szarpie mnie za ramię. Obaj z Miszą wciąż wpatrywali się w ciemny zakręt.

Za psem szła kobieta. Dopiero teraz ją zauważyłam.

– Ona... ona jest goła – wyjąkał Misza.

Z przerażeniem spostrzegłam, że po wewnętrznej stronie ud dziewczyny ściekała krew. Bose stopy zostawiały na resztkach śniegu znajome, ciemniejące ślady. Szła w naszym kierunku. Miała zaciśnięte powieki.

– Śpi! – szepnęłam w nagłym błysku zrozumienia. – Twój pies jej pilnuje.

Nagle dziewczyna, razem z idącym przed nią Kokosem, skręciła na jedno z podwórek i rozchlapując bosymi stopami kałuże, zniknęła za jednym z domów. Tylko w błocie dalej czerniły się głębokie ślady – te same ślady, które od tyłu tygodni pozbawiały całą Cukrówkę spokojnego snu.

Gapiliśmy się na siebie nawzajem oniemiaли. Żadne z nas nie było w stanie wykrztusić słowa. Wiatr się uspokoił i wokół zapadła nienaturalna cisza. Słyszeliśmy tylko własne przyspieszone oddechy. Wiedziona niejasnym przeczuciem, spojrzałam w górę.

Nad naszymi głowami, na szczycie stromego dachu przypadkowego domu, stała Magda.

Nie wyglądała jednak jak Magda. Wciąż miała zamknięte oczy, a jej zawsze związane jasne włosy spływały teraz rozpuszczone wzdłuż pleców. Było to chyba po prostu złudzenie rzucane przez światło pobliskiej latarni i mokrą, błyszczącą dachówkę, ale wydało mi się, że blask unosi się wprost z niej, paruje jak pot. Włoski nad kostkami, na łydkach, na udach układały się w przecinające się i nachodzące na siebie przerywane linie demarkacyjne, warstwie ogarniające powoli ciało. Sińce pod zaciśniętymi oczami przypominały zbierający się na szczytach policzków cień. Pośladki oplatały mleczne żyłki rozstępów, które musiały wykwitnąć, kiedy Dygnarówna za szybko urosła.

Stała pewnie, wyprostowana, w lekkim rozkroku, z kłębowiskiem

miękkiego półmroku pomiędzy udami i nitką zaschniętej krwi na skórze. U jej bosych stóp rozstępowało się miasto.

W otaczającej nas ciszy powoli podniósł się dźwięk. Najpierw ledwie słyszalny, słabo uchwytny szemranie, pomruk przypominający szelest kartek wertowanych poślinionym palcem. Przyłożyłam dłoń do skroni. Miałam wrażenie, że melodia wydobywa się wprost z mojej głowy, rozszczepia z szumu uderzającej we mnie krwi. Czułam, jak wypełnia powietrze, rozlewa się, rośnie...

Wtedy wybuchł śpiew. Dźwięk spłynął po dachu obcego domu, pociekł po ciemnej ulicy, rozlał się i wypełnił Dolinę Zmornicką jak pustą miskę.

Magda śpiewała.

Był to dziwny, hipnotyzujący śpiew w języku, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. Obco brzmiące słowa niosły się czysto i daleko w zimnym powietrzu. Przestraszyłam się, że we wszystkich okolicznych domach zaraz zapalą się światła, obudzeni ludzie wybiegną na ulicę, ale nic takiego się nie stało.

Byliśmy sami.

Śpiew stawał się coraz głośniejszy. Czułam, że Magda dokądś zmierza, wznosi się dźwiękami, walczy, szuka z wysiłkiem jakiegoś apogeum, widziałam, jak wspina się na palce, lekko podnosi ramiona, do tej pory bezwładnie opuszczone wzdłuż tułowia, wyciąga je, jakby próbowała czegoś dosięgnąć. Wpatrywałam się w nią zahipnotyzowana, uniesiona falą syreniego zewu, pewna, że już, zaraz jej się uda, że właśnie teraz coś się wydarzy... Coś, na co ja też czekałam, chociaż aż do dzisiaj nie miałam o tym pojęcia.

A potem nagle śpiew urwał się w połowie słowa, a mnie i całe miasto wypełniła cisza.

Magda, wciąż nie otwierając oczu, odwróciła się, ruszyła w stronę tylnej

krawędzi dachu i... zniknęła.

– O kurwa, o kurwa, o kurwa – wyszeptał przerażony Misza. – Skoczyła.